Ner 5. Kraków 2 lutego 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*.
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *Hercoka* na Halickiém.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można przez księgarnią Fr. Grzybowskiego w Krakowie — a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

O WYCHOWANIU KOBIETY
odpowiedniém jéj stanowisku i powołaniu

podług

Dr. Rudolfa Wirchofa.

(Ciąg dalszy.)

Dopiero od wieku XI. poczynają się najprzód w Niederlandach stowarzyszenia kobiet, poświęcających się uczynkom miłosiernym, które zwolna podjęły się także udzielania nauki praktycznéj dla młodzieży żeńskiéj. Z nich powstały znowu beginki: (dewotki, bigotki) działające już więcéj samodzielnie, których liczba szybko wzrastała, a ponieważ w Niemczech bardzo wielkiego używały wzięcia, ściągły na siebie wkrótce gniew kościoła i uległy klątwie papieskiéj. Reformacyja dopiero nadała w téj mierze stałą podwalinę, albowiem szkoły protestanckie żeńskie szybko powstające sprawiły, że i kościół katolicki dla przeciwwagi tworzyć musiał zakony szkolne urszulinek, sióstr angielskich i innych. Lecz wszystkie miały zakrój przeważnie religijny, właściwe zaś wychowanie odpowiednie powołaniu, pozostawiono tradycyjnemu życiu domowemu.

Lecz jakże długiego czasu potrzeba było, by dojść do przeświadczenia, że to nie wystarcza! Jeszcze niema 200 lat, kiedy czcigodny Tenélon te wyrzekł słowa: „Kobietę trzeba w tém kształcić, co jest jéj życia zadaniem. Powinna więc mieć nadzór nad wychowaniem dzieci, tj. synów do pewnego wieku, córek zaś dopóki za mąż nie pójdą — powinna pilnować postępowania, obyczajów i czynności sług, powinna baczyć na domowe gospodarstwo, wydatki itd. To bowiem jest urzędem jéj, i w tém powinna być mistrzynią“. Lecz były to tylko błogie pragnienia, w porównaniu do ogólnego stanowiska szkół żeńskich, jakie miał wiek XVIII., a nawet jakie są w XIX. Ani niższe, ani wyższe szkoły żeńskie nie poczuwają się do obowiązku wychowywania **dla życia**. Chociaż w sposób uznania godny kształcą umysł w wiadomościach i sztukach, doskonalą w naukach, podniecają zdolności artystyczne, ćwiczą w kobiecych robotach ręcznych, wydają nawet zdolne nauczycielki, lecz nie **kształcą na gospodynie domu**.

Jeżeli mówię o gospodyniach, to nie mam na myśli, jak to już wyżéj wyraziłem, żony tylko i matki, lecz w ogóle kobiety, które właściwą stronę gospodarstwa ująć potrafią z przeświadczeniem i świadomością, podejmując się samodzielnie prowadzić dzieci, pielęgnować chorych, zająć się kuchnią, ogrodem.

Odchodzę więc tutaj od szczegółowéj sprawy „**wychowania kobiety dla męża**“, nie chcę też zajmować się kwestyją „**wychowania kobiety dla społeczeństwa**.“ Albowiem jedno i drugie według mego zapatrywania się musi koniecznie poprzedzać **wychowanie kobiety dla domu**. Lecz jakże tego nauczać? A przecież to nie jest zadaniem szkół panieńskich i pensyjonatów, może ktokolwiek powiedzieć. Tak przyznaję, tego zadania im nie poruczono i można im takowe po części tylko nałożyć. Aleź istotnie tego zadania w żaden sposób pominąć nie należy. Z pewnością przyjdzie przecież ten czas, kiedy znaczna większość młodych panien poszedłszy za mąż, będzie dzieci pielęgnować, mieć opiekę nad chorymi, musi się zająć kuchnią, piwnicą lub ogrodem. Czy istotnie kto sądzi, że to wszystko jakoś to się tam samo zrobi i samo z siebie nauczyć się da? Wieleż to doświadczeń gorzkich przy tém trzeba zrobić, wiele ciężkich trosk znieść i przeboleć! O wiele szczęśliwszém byłoby niejedno małżeństwo, gdyby czas téj pierwszéj niezbędnéj nauki praktycznéj, że tak powiem techniki gospodarskiéj, ukończonym był już przed weselem! nieraz stanowisko gospodyni zyskałoby na godności, gdyby będąc panną, lepiéj przygotowaną była do małżeństwa!

Niejednego można nauczyć się teoretycznie, lub widzieć z teoryi, a zadania takiego snadnie podjąć się mogą szkoły żeńskie. Pomówmy najprzód o pielęgnowaniu ciała, a właściwie o utrzymaniu zdrowia. Historyja naturalna wchodzi wprawdzie w program nauk szkół żeńskich, lecz bywa tam przepuszczaną, że tak się wyrażę, jakby przez grube sito. Tradycyja zamknęła do żeńskich szkół przystęp anatomii i fizyologii, umiejętnościom, o których mniemano, że wzmianka o nich w dobrém towarzystwie nie może być tonem przyzwoitym, a młode panienki nie powinny nawet domyślać się o ich istnieniu. Lecz przyroda nie zawsze jest

niebezpieczą, chociażby nawet nago przedstawiła się oczom; doświadczenie bowiem pouczyło, że to, co pod zasłoną jest o wiele niebezpieczniejszém. Zresztą tutaj nie o to chodzi, aby w szkołach żeńskich wykładano kurs anatomii i fizyologii wyczerpujący, ale zawsze możliwém jest ograniczenie się na tém, co żadnego umysłu nie obałamuci.

Aby w porządném gospodarstwie umieć zarządzać kuchnią, to przecież potrzeba wiedzieć, co jest strawném a co nie. Gospodyni zwykle uczy się tego dopiero z latami drogą doświadczenia. Poprzednio część stołowników musi częstokroć cierpko odpokutować popsuciem żołądka i chorobą. Lecz dla czego sobie żołądek popsuli, tego gospodyni nie wie, albowiem przy zdarzonéj sposobności znowu się to powtarza, i robi się nowe doświadczenie. Jak niewystarczającym jest taki sposób doświadczenia, by na nim oprzeć odpowiedne przyprawianie potraw, to po prostu z tego widać, że w życiu pospolitém wszystko uważają, jako strawne, co żadnych nie sprawia dolegliwości w żołądku, gdy przeciwnie to tylko jest strawném, co się istotnie strawi, tj. co się rozpuści i w krew przejdzie. Pokarm strawny może być szkodliwym, niestrawny zaś częstokroć może być tylko nadaremnie użytym. Cóż mam powiedzieć o pokarmie małych dzieci, jakże opacznym nieraz i przewrotnym bywa, ileż to młodych matek dopuszcza się grubych w téj mierze błędów! Ileż to potraw przychodzi na stół, pomimo że nieraz bez szkody pożywane bywają, jednakże nie są przyrządzone w tym stopniu potrzebnym, w jakim tylko należycie i dokładnie strawić je można!

Ażeby te najprostrze rzeczy umieć ocenić i osądzić, trzeba przynajmniéj mieć wyobrażenie, jak jest ukształcony żołądek, i jak to się dzieje, że strawi potrawy i napoje, — z czego się składają te potrawy i napoje, co się dzieje z ich pierwiastkami w ciele ludzkiém, do czego one służą, i tak daléj. Do zrozumienia tego potrzeba wiedzieć nie tylko coś z anatomii i fizyologii, lecz także coś i z chemii, botaniki, i innych umiejętności. A ta wiadomość nie śmie być powierzchowną, mozolnie zlepioną, ażeby nie potrzeba długo namyślać się, co w danym razie czynić należy, lecz musi być w umyśle skupioną i zjednoczoną, ażeby w każdéj chwili i na każde zawołanie żywo w pamięci stanęła.

(Ciąg dal. nast.)

OPOWIADANIE CIOTUNI.

(Powieść z życia.)

(Ciąg dalszy.)

Po herbacie gawędka przeciągnęła się w noc późną. Ale dla niéj Emilcia nie opuściła ze zwykłych swoich zajęć. Wstawała często wydając różne rozporządzenia, częściéj przychodzili do niéj z zapytaniami słudzy, z robotami dziewczęta. Ona jedne odbierała, drugim na drugi dzień inne przeznaczała. Cierpiała na tém rozmowa poufna, w któréj całe serce moje udział brało, a która po tak ciągłém przerywaniu znów tak łatwo w ten sam tor przejść nie mogła, — ale bardzo mi się podobała ta czynność — ta pamięć gospodarska Emilki o wszystkiem i wszystkich, a gdy nareszcie gwarne towarzystwo dzieci się pospało, gdy pan Piotruś, istny znak zapytania odszedł i naokoło się uciszyło — rozmawiałyśmy długo. Wypytywała mnie o dom Antosi, którą znała — o jéj stosunki. Opowiadała o dzieciach, o nauczycielkach, które do nich miała — które tak dużo kosztują, a tak mało się dziećmi zajmują — i zapytała czy w istocie jest moim zamiarem zająć się ich nauką.

Odpowiedziałam, że bardzo jéj będę wdzięczną, jeśli mi na to pozwoli, że jak na dziś, to jest jedyném mojém życzeniem.

— Rób jak chcesz, jeśli ci to przyjemność uczyni. Ja myślę, że cię to cokolwiek w naszéj samotności rozerwie, choć zawsze miło mi cię mieć u siebie bezwarunkowo. Jednak liczyłam na to — i spodziewając się ciebie, już od miesiąca oddaliłam guwernantkę, osobę bardzo dobrą, do któréj się dzieci były przywiązały, która się niemi dużo zajmowała i nawet wiele przy niéj skorzystały, ale nie miała akcentu — uważasz — pięknego akcentu paryskiego, a widzisz to najważniejsze....

— Jutro zrobiemy egzamen — powiedziałam — ja z dziećmi, ty ze mną.

— Ja bo widzisz niemam czasu doglądać wszystkiego, gospodarstwo, dom — a mój poczciwy Piotruś — to on się niczém nie zajmuje — niemam pomocy żadnéj; — ale mi szczególniéj idzie o akcent — niech umieją ładnie po francusku... to najważniejsza.

Zdziwiło mię to wprawdzie, iż w tym dworku szlacheckim, gdzie ze wszystkich kątów prostota i poczciwość zdawały się przeglądać, że w nim znalazłam tę nieszczęśliwą manią cudzoziemszczyzny, którą i na pysznych salonach zdybywałam. I choć nie uważałam tego za najważniejsze w wychowaniu moich siostrzenic, jednak starałam się uspokoić Emilkę, zapewniając, iż u Antosi wprawiłam się w ten język, bo tam nim często mówiono — tak z przyczyny zwyczaju jak dla nauki dziecka — i z potrzeby przemawiania nim do licznéj cudzoziemskiéj gawiedzi co nas otaczała. Czas jakiś na przekonanie jéj rozmowę utrzymywałam po francusku. Emilka zdawała się być zadowoloną ze mnie. Ale ja, cóżem usłyszała? Takich zwrotów, takiego spolszczania frazesów, nie spodziewałam się wcale od osoby, co tak wysoko stawiała czystość wymowy. Szczęściem nie długo trwała już rozmowa. Pierwszy wieczór naszéj znajomości zakończył się już po północy. Uprzejma Emilka odprowadzić mnie chciała do przeznaczonego

mi pokoju. Wiedząc już doń drogę, poszłam sama pierwéj bez światła, lecz naraz potknęłam się o coś na drodze. Jakiż był mój przestrach i zdziwienie, gdy dotknąwszy się ręką tego przedmiotu, zamiast stolika lub kufra jak się spodziewałam, namacałam głowę kobiety, która się naraz wyprostowała.

— Co to jest? zawołałam, odskakując mimowolnie.

— Pannunciu, nie mówcie żem spała, odezwał się z jednéj strony cichy szept kobiety — a z drugiéj śmiech Emilki.

— Ha, ha — to nic — to nic! to Jaryna — bo widzisz ja sama mieszkam w tym pokoju, a mam nerwowe usposobienie, czasem lęk jakiś napada mnie — to nie lubię być samą.

— Ale dla czegoż ona klęczy? mówiłam wskazując na kobietę w średnim wieku, która na środku pokoju klęczała wyprostowana, smutna, zaspana i zawstydzona.

— A naturalnie dla tego, żeby nie zasnęła — odpowiedziała mi tak swobodnie i wesoło siostra, żem na nią się wielkiemi wypatrzyła oczyma. Wszakżeż to już po północy; czyż myślisz, że położywszy się, nie przespałaby jednym ciągiem aż do rana?...

— I to tak co noc? zapytałam ją boleśnie zdziwiona.

Ona spojrzała na mnie — siwe jéj oczy zamigotały dziwnie — na ustach znów się ten sam zwykły uśmiech ukazał:

— O! nie żałuj jéj! wyśpi się jeszcze — o trzeciéj ją zluzują.

Powiedziałam Emilce we drzwiach dobranoc. Weszłam do siebie — dziewczynka, którą z sobą przywiozłam, spała już smacznie. Nie śmiałam jéj budzić, stanęłam w oknie i myślą przechodziłam dzieje dnia upłynionego. Ta kobieta klęcząca stała mi wciąż na myśli. Nie mogłam zdać sobie sprawy z nieludzkości siostry dla téj kobiety — to zadawanie gwałtu naturze i jéj prawom — ten uśmiech jéj spokojny z mego zadziwienia — ta mowa swobodna, cóż to miało znaczyć? Czyż nie pojmowała nawet złego, które wyrządza. I zastanawiając się nad Emilką, mimowoli czułam, że w niéj być musi dwoista istota — jak mamy sukienki odświętne i codzienne. Przeczuwałam, iż na dzień pierwszy mojego przybycia, uroczystsza była na niéj szata, jednak nie tak doskonale wdziana, by przez nią nie przebijały szare kolory domowego stroju. Piotruś wydał mi się dobrodusznem, nijakiém stworzeniem. A dzieci? Te mię bardzo zajmowały — ale ich jeszcze wcale nie poznałam. Zdały się grzeczne i dobre, tylko Wandzia coś mi za junacko wyglądała.

Nieraz zapytywałam się jakie tu będzie moje życie wśród tego otoczenia, czy zdołam zrość się z tą rodziną?

Pomimo tych różnych myśli, czułam taki spokój i pociechę w duszy, jaką czuć musi żeglarz, gdy po znojnych trudach niebezpiecznéj podróży ujrzy nakoniec ziemię, gdzie mu wypocząć i do długiéj ponownéj walki z żywiołami gotować się wolno. Uklękłam i modliłam się długo, gorąco — o pomoc, o siłę, o wsparcie. I czułam jak się siły budziły we mnie. I prosiłam o wytrwanie, tę najtrudniejszą cnotę w życiu!

Słońce letnie jasno oświecało już mój pokój, gdy mię gwar przytłumiony i szybkie kroki zbudziły. Przetarłam oczy, śliczne promienie słońca zaglądały w okno, wierzchołki drzew zielone stały spokojnie najlżejszym wiatru powiewem nie ruszone.

Poskoczyłam ku oknu — otworzyłam go szeroko — pełną piersią zaczerpnęłam czerstwego powietrza Ukrainy — i z rozkoszą patrzyłam na Dniepr siny, na szerokie pola, na ludzi pracowitych po nich się snujących. Spojrzałam na zegarek — szósta tylko co minęła. — Jakżeż tu rano — jak pracowicie żyją pomyślałam sobie, bo na dziedzińcu poznałam Emilkę w dużym kapeluszu — w bieli ubraną, krzątającą się pomiędzy domem a oficyną — za nią jakąś starą jéjmość, zapewne klucznicę.

— Zejdę do ogrodu — powiedziałam sobie — nie będę jéj przeszkadzać i ubrawszy się w ciemną sukienkę i kaftanik, poszłam między klomby. Wszędzie zauważałam staranie i porządek, wszędzie chciano pożytek z przyjemnością połączyć. Ale dziwnie niezgrabna wydała mi się ręka, co się ozdób dotykała: kwiaty ginęły przygłuszone dużemi krzewami, altanki groch cukrowy oplatał — a w miejscu gazonu przed domem krąg cały naokoło gwoździkami i rezedą osiany, zielenił się pięknie szerokiemi liściami buraków, z pomiędzy których (widać dawniéj posadzone) gdzie-niegdzie krzaki róż się wznosiły.

Przyznam się, iż nad tym gazonem stanęłam zdziwiona, niewiedząc sama co myśleć o téj mieszaninie — gdy mi nad uchem zabrzmiał głos pana Piotrusia:

— A prawda, jak to ładnie? *Utile dulci* — czy jak tam mówią. Prawda? to mój pomysł. Milci chciało się koniecznie gazonu — chciało się klombów i kwiatów — a mnie trza było gdzieś buraki posadzić. Więc ona ma teraz zieleniznę pod oknami — a w jesieni jeszcze się zbiorą pieniądze. O! u nas tak! Nic darmo nie trwoni się — grosz się szanuje, bo z groszem tylko dobrze na świecie. O, moja Milcia, to na wzór kobieta — o piątéj godzinie już wstała, wszędzie była, wszędzie zajrzała — ukarała, pochwaliła, jak gdzie trzeba. Chodźmy do niéj, oto tam stoi przy magazynie i z jakąś chorą rozmawia. To skaranie Boże! tyle roboty w polu — a oni ciągle chorują.

— Lepiéj nie przeszkadzajmy w zajęciu....

— To nic nie szkodzi. Albo może pójdziemy razem gospodarstwo obejrzeć. Ale może siostrunia nie lubi gospodarstwa? Bo to tam u panów to pewnie do tego

nie przyzwyczajona. O! a u nas — zwyczajnie, jak u szlachty, inaczéj. I takich trzewiczków szkoda po rosie — dodał patrząc na moje obuwie.

Upewniałam, że bardzo cenię zajęcie gospodarskie, że owszem miło mi będzie poznać ich zajęcia, że chcę się zupełnie wdrożyć w tryb ich życia, a trzewików moich wcale nie żałuję.

Poszliśmy więc razem odbyć ranny przegląd. Wszędzie zdawało mi się być dobrze, czysto i porządnie, ale Piotrusiowi to nie wystarczało, wszędzie znalazł coś do zganienia, nikt nie otrzymał pochwały — lecz za to nagan i gróźb nasłuchano się do woli. Gdyśmy wracali zapytał — jak mi się u niego wydaje? Chwaliłam i chwaliłam szczerze — lecz zarazem nie mogłam utaić zdziwienia, że on sam z niczego nie był zadowolony.

— O! bo widzisz pani — rzekł mi na to z pewną dumą — od chama nigdy nie można przestać wymagać, bo się zaraz opuszcza. Z nim ostro! jedyny sposób. To téż u nas wszystko w s i e j c z a s.

— Ależ mi się zdaje, że słuszna pochwała i nagroda za pilność, wzbudzając ich przywiązanie i....

— Przywiązanie! przywiązanie!.... romanse! ideały! Oni tego tylko kochają, kogo się boją...

— A słuchajno Jaryno! zawołał, przerywając sobie mowę — a dużoś tam już grządek spełła?

— Już trzecią kończę, proszę pana — odpowiedziała kobieta, podnosząc głowę nachyloną, a ja w niéj poznałam tę samą , z którą wczoraj spotkałam się w nocy.

— A widzisz! A trzebaż ci było wczorajszéj nauki?

Kobieta nic nie mówiąc, spuściła głowę i dalej pracowała.

— Strach! co to za śpioch! mówił Piotruś zwracając się do mnie. Zawsze ona najpóźniejsza do roboty — ale spodziewam się, że po wczorajszéj nauczce już będzie ranniejsza. — I gest znaczący kazał mi się domyślać, co to była za nauka.

— Ależ bo ona w nocy nie spała, odrzuciłam silnie całą rozmowę ziritowana, przypomniawszy sobie zaręczenie Emilki że jeszcze się wyspi. A tu o siódméj już trzy grządki wypełła. O któréjże na to wstać musiała?...

— Nie sypia! a to dobre! to pani w to wierzysz że ona nie śpi — nieraz Emilcia wstanie cichutko i całą karafkę wody na nią wyleje, by ją rozbudzić.

Dreszcz mię przeszedł, nie wiedziałam jak mówić do tych ludzi, którzy nie pojmowali swego okrucieństwa i nadużywania władzy, którzy za tak naturalne uważają to, co jest nieludzkiém niedomyślając się ile tém złego dla siebie, dla kraju, dla społeczeństwa całego wyrządzają. Wtém nadeszła Emilka.

— Widziałam, rzekła — jak cię Piotruś wyciągnął na przechadzkę. On myśli, że co jego bawi, to się i drugim podobać może. Czekałam tu na was, bo byłam bardzo zajętą. Jakżeż ci się tu podoba?

Zapewniłam ją, że wszystko znalazłam doskonale.

— Jeśli cię to nie znudzi, to potém i ja ci się pochwalę — powiedziała — oprowadzę cię po moich kryjówkach. — Patrz, to wszystko co widzisz naokoło, to moje dzieło. Jakem przyjechała, była tu tylko kupa gruzów, a teraz co klombów, co kwiatów; nagderał mi się pan mąż dosyć, ale też za to mają słowiki gdzie się chować i śpiewać. Ja tak lubię słowiki!...

I w téj chwili miała wyraz twarzy tak miły i smętny, żem zapomniała, że ona budzi się w nocy nie dla słuchania słowików tęsknego śpiewu, ale dla męczenia klęczącéj służebnicy.

— W istocie ładnie tu będzie — rzekłam — szkoda tylko, żeś i tą razą posłuchała męża i z buraków gazon przed domem utworzyła.

— Wiem, wiem — ale cóż chcesz — trudno mu było wyperswadować; a przytém w szlacheckim domku i to dobre — nie mamy pretensyi do pańskości — odpowiedziała, rumieniąc się lekko.

Spostrzegłam, że ta uwaga przykrość jéj zrobiła, zwróciłam więc mowę na co innego, a wkrótce zapowiedziawszy dzieciom egzamin, poszłam się przebrać.

Tyle już razy wspomnieli mi oboje Piotrostwo o salonach Antosi i pańskich moich przyzwyczajeniach, żem naumyślnie wybrała jak najskromniejszą sukienkę muślinową. Lecz niestety! była ona jasna i dobrze zrobiona. Zaledwie więc weszłam, wpadłam w oko Piotrusiowi.

— Och! jak alegancko ubrana! zawołał — a już dostrzegłam w nim zwyczaj naumyślnego przekręcania wyrazów z ironią — gdzie tu w naszéj chacie usiąść w takich sukniach.

— Lepiéj czysto i porządnie, niż w takich buciskach i płótniance chodzić — stanęła w mojéj obronie Emilka.

— A bo ja sobie gospodarz — mnie i to dobre — nie mam pretensyi do pańskości.

— Ale co masz się wtrącać do cudzego ubrania.

— To już i pochwalić nie można? — Boże, Boże!

— No, no, idź już sobie — dzieci będą zdawać egzamin.

— Biedactwo! znowu im każą siedzieć nad książkami, zamiast pobiegać swobodnie. I na co to im potrzebne?

— Proszę cię — nie wtrącaj się do tego — wiesz, że tego nie rozumiesz.

— A tak! niech papa idzie, bo nam będzie przeszkadzać — odezwała się Wandzia a za nią inne dzieci.

— Idę już — idę — tylko dajcie mi choć Benjaminkę — to ją trochę przewiozę. Szczęśliwa, ona się jeszcze nie uczy.

— Dobrze — odrzekła matka — tylko niech niańka z nią jedzie — bo na ciebie w niczém się spuścić nie można.

Rozbiegły się dzieci posyłane przez matkę to za niańką, za chustką, za kapeluszem, a ja stałam koło

stołu machinalnie przebierając książki, które na nim leżały. Były to książki stare, dawno wyszłe z użytku, bo zastąpiono je nowemi, w których obszerniejsze wiadomości z większemi ułatwieniami połączone były. Tu jednak wszystko było po staremu. Jako korona dzieł wszystkich leżały na środku dwa olbrzymie słowniki Troca. Gdym je przeglądała, zbliżył się do mnie pan Piotruś i rzekł prawie po cichu:

— A niech tam siostra tém wszystkiém głowy moim dziewczętom nie zaprząta. Naucz je lepiéj szyć, prać, gotować, to będę pewien, że się choć od nędzy zawsze opędzą — że i one same i z niemi każden będzie szczęśliwy. A te wszystkie języki na co im potrzebne? Jednego czasem słuchać nie można cierpliwie. Lepiéj żeby wiedziały co jest w spiżarni niż co było przed Jezusem, a co po nim następuje, to im złoty ołtarzyk powie.

Uczucie i rozsądek, któregom dotąd śladu nie dostrzegła, brzmiał w jego głosie. Chciałam odpowiedzieć, ale go już przy mnie nie było.

Emilka chciała znowu coś wprost przeciwnego.

— Szczególniéj wprawiaj ich w język francuski i w konwersacyją — mówiła — to najpotrzebniejsze. Niech się uczą — o! niech się uczą — niech czas cały mają zapełniony. Jakąż rozkoszą jest nauka — dodała sentencionalnie podnosząc oczy ku górze, jakby ztamtąd natchnienie czerpała, lub dziękowała Bogu za niewymowne rozkosze, jakie kształcenie umysłu, a z niém zdolność pojmowania piękna i cudów świata przynosi dla duszy.

Wyuczyła się bowiem z książki, że pięknie jest dla kobiety być czułą i delikatną, dla tego miała ustępy sentymentalne w mowie — i czasem oczy romantycznie przewracała. Nie będąc w możności postawić domu na stopie jak sobie życzyła, chciała mu choć pozór tego nadać, i dla tego to panowała w nim ta dwoistość, zdradzająca walkę mierności z chęcią wystąpienia. — Poezyi nie było u niéj ani w sercu, ani w pojęciu, dla tego niezgrabne jéj naśladowanie śmiesznością tylko ją okrywało. Konieczna oszczędność w jéj położeniu wyradzała się w skąpstwo w życiu domowém, by czasem fałszywym blaskiem olśnić rzadkiego gościa: a nieumiejąc się utrzymać przy pewnéj zasadzie: to ulegając konieczności stawała się zawołaną gospodynią, otaczała się jak trofeami motkami, ogórkami i innemi przyborami gospodarskiemi; to znów starała się nadać całemu domowi pozór wykwintu, któren mu wcale nie odpowiadał, a zazdroszcząc w duszy bogatszym od siebie, wstydząc się fałszywie przyzwoitéj mierności, okrywała ją jak mogła pozorem pańskości — co znów dla pana Piotrusia było niemiłe jak szkliste posadzki, po których w gospodarskich butach nie umiał chodzić.

Dzieci kochała po swojemu. Dbała o ich byt materyjalny i chciała dla nich nauki — ale pozornéj tylko. Obchodziła się i z niemi ostro — pomimo że ich miała za bardzo doskonałe istoty, choćby z tego tylko powodu, że ich matką była — a jedyném marzeniem jéj było: córki za mąż bogato powydawać — jako ułatwienie i drogę do tego celu uważała francuzczyznę i dobre maniery.

(Ciąg dal. nast.)

NOC KARNAWAŁOWA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

W alkierzyku żydowskie pacholę
Przez zamarzłe szyby patrzy w pole —
W noc jak w talmud patrzał, ognistémi
Zapisaną znakami po ziemi,
Patrzał, słuchał — wiatr niesie z za wzgórza
Z onéj strony, kędy dwór dziedzica,
Wrzask i jęki — łuna krwawa, duża,
Rośnie — dwór się pali jak gromnica.
Więc jak w sądny dzień żydziak się kiwał,
Drżał i modlił się i psalmy śpiewał.

W alkierzyku z siedmioma ramiony
Świecznik gore, — żyd stary, zgarbiony
Nad pożółkłą księgą, w takt się kiwa.
W cieniu płachty, co mu na twarz spada,
Szklą się oczy błyszczące — twarz śniada —
Rozczochrana broda na pierś spływa,
Usta cicho modlitwy szeptały,
I wydawał się ów żyd stareńki,
Jako drzewo w kwiat ubrane biały,
A te modlitw szmery jak pszczół brzęki.

Młody żydziak przystąpił do dziada,
Smutną głowę na piersiach mu składa
I zaszlochał — „Izaak, co tobie?“ —
— „Wy pytacie?“ — rzekł młody w żałobie —
„Tam — tam — giną — a znikąd pomocy,
„I strasznemi krzykami po nocy
„Próżno Bogu i ludziom się żalą“.

Starzec księgę odsunął od siebie,
I rzekł patrząc na łunę na niebie:
— „I cóż, że się gojmów domy palą,
„I że gojmy giną — a nam co to?
„Obca ziemia i naród nam wstrętny,
„Więc czy wstanie, czy konając smętny
„Zakrwawioną głową legnie w błoto —
„Nam do tego co? — Nasze świętości
„I ojczyzna nasza tam — daleko —
„Kędy rzeki pod palmami cieką,
„Tam, gdzie gruzy przysypały kości
„Ojców naszych; a tu ten czy owy,
„Wyrośnie nam w pana po nad głowy,

„Nam to jedno — nam dola jednaka.
„Nasze życie jak życie robaka
Zdeptanego, co z bólu jad toczy,
„Śliniąc jadem nogę, co go tłoczy.“

— „Dziadku, dziadku, gorzka twoja mowa,
Bluźnisz strasznie, a słucha Jehowa.
Toć w te czasy, gdy nas jako śmiecie
Wichry nieszczęść rozwiały po świecie,
Gdy lud ciemny i wściekły z mnichami,
Rzucał klątwy, kamienie za nami;
Gdy wśród ludu fal stawiali kaci
Na płonących stosach naszych braci —
W onę straszną dla Judy godzinę
Kto nas przyjął — kto dał nam gościnę?“ —

Dziad się rozśmiał, szyderczo, jałowo,
A w tym śmiechu twarz się w zmarszczki cała,
Jak pargamin zmięty połamała, —
Płachtę zrzucił wstecz i kiwał głową.

„Przyjęli nas w gości, gojmy harde,
Do téj pracy, co u nich w ohydzie,
I mówili nam gościom: psie żydzie,
I dali nam chleba i pogardę.
Ot gościna! pies nie pozazdrości
Tego szczęścia i téj gościnności,
Kiedy żyda nawet siwe włosy
Nie obronią od szyderstw i błota,
Kiedy lada obszarpaniec bosy
W twarz mu pluje i kamień nań miota.
Za gościnność taką niech Jehowa
Zapłaci im chorobą i głodem,
Niech w pożarach ich głowy pochowa,
Za tę pastwę nad starym narodem“.

„O Jehowo, kiedyż się to ziści,
Gdy nas nakształt rozsypanych liści
Zbierzesz długim już przegniłych żalem,
I zaniesiesz tam — do Jeruzalem? —
Jeruzalem! ty moja tęsknico!“ —
Wołał stary, wstając jak duch biały,
A na siwych rzęsach łzy mu świecą,
I głos jego drżał i ręce drżały.
Izaak milczał — tylko sine żyły
Jako pręgi na skroń wystąpiły,
Wzrok zposępniał — teraz w żyda duszy,
Jak gdy kamień kto z grobu odwali;
I robactwa kłąb ręką poruszy.
Bo i on już doznał jak to pali
Ślina na twarz rzucona z pogardy —
Nieraz rękę zwinął w kułak twardy,
Nieraz zębem ścięta warga zbladła,
Kiedy widział jak niejedna czuła
Matka dziecku kamień w ręce kładła,
I jak młode psię na żyda szczuła;
I przypomniał sobie owe chwile,
Kiedy chroniąc głowę od kamienia
Drżąc uciekał, a za sobą w tyle
Słyszał ludzki śmiech i złorzeczenia,
I zdyszany na matczyne łono
Padał nieraz, z głową porunioną,
I pytał się matki, z płaczem, wstydem,
Czy to wielka tak zbrodnia być żydem?

(Ciąg dal. n.)

Kobiety dramatów Słowackiego.

I.

(BALLADYNA.)

Balladyna. — Alina. — Wdowa.

Czy Słowacki znał kobiety? — To pytanie nieraz mi się nasuwało przy czytaniu jego dramatów; znajdują się bowiem w nich miejsca, zdumiewające trafnością w kreśleniu najdelikatniejszych odcieni, są słowa wykradzione z najgłębszych tajników kobiecego serca; a jednak mimo to powiedziałbym, że Słowacki za mało znał kobiety; chwytając z generalną bystrością wybitniejsze rysy, odgadując intuicyjnie charakter kobiety, nieodgadywał go i nie ogarniał w całości tak samo, jak cudzoziemcy, którzy piszą o naszym kraju, umieli spostrzegać takie odcienia naszego charakteru, jakie nam nawet nie wpadły w oczy — ale gdy przyszło przedstawić ciąg dziejów, opis ich pokazywał się niedokładnym, nieprawdziwym, bez znajomości ducha narodowego. Słowacki był cudzoziemcem na archipelagu serc kobiecych, los nie dał mu zawinąć na dłużéj do którego z nich. Powstanie 31 roku, rozłączyło go z matką i kochanką, potém dowiadujemy się z listów jego o jakiéjś Eglantynie i drugiéj jeszcze Szwajcarce, przy których wygnaniec na chwilę odpoczął, do których się zbliżył — i to zbliżał się w usposobieniu, w którém człowiek więcéj czuje, niż bada, gdy na myślach i oczach ma tęczowe szkła miłości. A kobietę poznać dobrze można tylko w dłuższém zetknięciu się z nią, patrząc na nią bez zachwytu kochanka, z chłodnym spokojem i rozsądkiem, widząc jéj charakter nie w świątecznych gazowych sukniach, robiących ją podobną aniołom, ale w codziennych sukienkach domowych, w jéj przywyczkach i słabostkach. Taką znajomość kobiety miał Shakespeare, Göte, dla tego ich postacie niewieście narysowane są z prawdą rzeczywistości, w najpodnioślejszych czuć krew z jéj prawami, czuć dotknięcie ziemi, gdy przeciwnie kobiety Słowackiego, stworzone w fantazyi jego z pojęć o kobietach, a nie ze znajomości ich, nie tykają ziemi, są idealniejsze, témsamem mniéj prawdziwe. Żadna z nich nie przeklina jak Konstancyja w królu Janie, nie odda ręki zabójcy

męża w dzień jego pogrzebu, jak Lady Anna w Ryszardzie III., nie potarga obowiązków córki, nie ucieknie od ojca ze skarbami, by w ustronnych ogrodach Belmontu, w księżycowéj nocy, gruchać językiem miłości, jak Jesike w Kupcu Weneckim; kobiety jego z jakim nastrojem wchodzą na scenę, w takim zostają do końca, są piekielnicami jak Balladyna lub Gwinona, tęczą jak Swetyna, posągiem jak Lilla Weneda — ale nie kobietami w całém znaczeniu. Słowacki umie uchwycić i oddać charakter wieku — narodowości — ale mniéj charakter kobiety w całéj prawdzie, nigdy mięszaninę cnót i słabości, nieba i ziemi. Ciekawą więc będzie rzeczą, rozpatrzeć się nam w tych postaciach, przez nie zobaczymy duszę samego poety, tak niejasno dotąd jeszcze odsłonioną przed nami, — tak pełną fantazyi, ruchu, lekkości.

Krytycy nowsi zbyt mało mówią nam o nim, a o współczesnych mu możnaby to samo powiedzieć, co mówi Hajne o Francuzach, czytających komedyje Shakespeare'a: „Stoją przed czarodziejskiemi ogrodami Szekspirowskiej komedyi i gapią się zdziwionemi oczami przez złote sztachety, widzą jak rycerze, panie, pasterki, pasterze, trefnisie i mędrcy przechadzają się pod wysokiemi drzewami, jak kochanek z kochanką w chłodnym cieniu słodkie prowadzą rozmowy, widzą jak rusałki z zielonym włosem wypływają z głębi rzek, jak księżyc wschodzi, słyszą jak słowik kwili — i potrząsają mądremi główkami nad témi niepojętemi dla nich dziwactwami". Dlatego sądzę, że studyja nad Słowackim, nie będą wcale zbytecznemi, a choć brak dokładnego życiorysu, któryby rzucił światło na wiele niejasnych, zagadkowych miejsc jego poematów, to przecież odważam się choć przy księżycowym świetle wprowadzić czytelniczki nasze do tego zaczarowanego ogrodu poezyi, zanim ktoś słonecznym rozświeci je blaskiem.

Cały orszak kobiet Słowackiego rozdzielimy na trzy grupy: kobiety dramatów legendowych, fantastycznych — dramatów historycznych i dramatów osnutych na tle historycznem.

Szereg pierwszych, rozpoczyna Balladyna.

Była to pierwsza z sześciu tragedyj, czyli kronik dramatycznych, jak je nazywa poeta, w których „z dawnéj Polski chciał utworzyć fantastyczną legendę". Te słowa uniemożebniają wszelkie przypuszczenia tych, którzy w owych dramatach gwałtem chcieli się dopatrzeć allegoryi czasów późniejszych. Była u nas jakiś czas choroba umysłowa, że nic nie brano tak, jak jest, ale we wszystkiém chciano się dopatrzeć allegoryi. Prawda, że w więzieniu cenzury, wolne myśli niektórych poetów musiały się kryć pod maskę i oszukując baczne oczy dozorców, duchem porozumiewały się z czytelnikami, ale domyślność czytelników w tym względzie, często przekraczała granice rozsądku. W każdéj heroinie poematu domyślano się Polski, w każdym okrutniku wroga, podsuwano poecie myśli, których nie miał. Tak się i tutaj stało — z Balladyny chciano koniecznie zrobić allegoryją, gdy tymczasem Słowacki chciał tylko otworzyć zamroczoną przeszłość naszą. Wprawdzie w téj przeszłości słychać nieraz niby w ouwerturze pojedyncze akorda, które potem w dziejach rozwiną się szeroko: „z wiekowéj ciszy dobywają się chóry prorockie" jako to zobaczymy wyraźniéj w Lilli Wenedzie — ale allegoryczności tam niema. Słowa poety są nam tutaj najlepszym komentarzem, powiada sam w liście do Krasińskiego, posyłając mu Balladynę: „Sprawdzą się sny mojego dziecieństwa. Bo ileż to razy patrząc na stary zamek koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy, że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowym nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne sofoklesowskie niestety". (Ciąg dal. nast.)

Z PRZYRODY.

Złoto. Srebro. Djamenty. Perły. Korale itd.

(Ciąg dalszy.)

Rozciągłość złota jako największa ze wszystkich metali, jest już każdemu znaną, jednak i pod tym względem znaczne porobiono postępy. W r. 1621 otrzymano w Paryżu z 2 łótów złota, 1600 blaszek, które 150 stóp kwadratowych pokryć mogły; dziś dwoma łutami pokryją 200 stóp kwadr. Lecz złoto do takiéj roboty musi być czystém, wszystkie bowiem inne metale prócz srebra i miedzi, zmniejszają bardzo tę jego rozciągłość.

Złoto dzielą na karaty i na grany; 24 karaty stanowi markę złota; karat ma 12 granów. Do lepszych robót biorą zwykle 18sto karatowe złoto, do robót gorszych 6-, 4- a nawet i 3-karatowe, lecz takie równa się pozłoceniu. Do najlepszych robót używają złota dukatowego, które ma zwykle 23 $^{1}/_{2}$ karatu.

Pozłacanie wykonywują albo za pomocą ognia, albo na zimno i mokro, lub za pomocą prądu galwanicznego. Najtrwalszém jest pozłacanie w ogniu, jednak coraz mniéj używane, gdyż robotnicy przez tę robotę cierpią wiele na zdrowiu. Galwanicznego pozłacania używano jeszcze w r. 1803 i pierwszy, który je zaprowadził, był Brugnatelli; rozpowszechnionem jednak zostało 40 lat późniéj, z udoskonaleniem galwanoplastyki, *de la Rive* i *Elsner* zupełnie je udoskonalili. Próbowano zaprowadzić ulepszenie w pozłacaniu przez ogień, oddalając szkodliwe wyziewy, za pomocą stosownych narządów, ale nie wiele to pomogło, już przez obojętność samych fabrykantów, już téż, że robotnicy nie wiele i sami na to zważają. Zawsze więc pozłacanie w ogniu licznych wymaga ofiar.

Pozłacanie w ogniu od galwanicznego, gołem okiem rozpoznać nie można, sposobem jednak chemicznym bardzo łatwo rozeznać. Bierze się rozpuszczony kwas siarkowy, tym pociąga się pozłotę, jeżeli skórka złota, która odejdzie, jest po obu stronach jednaką, pozłocenie jest galwaniczne; jeżeli odstająca skórka jest od strony naczynia czerwono-brunatną, jest oznaką pozłoty w ogniu, w skutek którego złoto trochę się łączy z metalem innym; pozłota więc galwaniczna, wyrównywa pozłocie mokréj, a przeto mniéj też zawsze jest trwałą.

(Ciąg d. nast.)

Opis ryciny mód i krojów

załączonych przy dzisiejszym numerze.

Jeszcze karnawał pełnym żaglem płynie, my jednak musimy go wyprzedzić i pamiętać o jutrze. Postaraliśmy się zawczasu o wzory paryskie okryć wiosennych. Stroje te lubo lżejsze, chronią jednak dostatecznie przed zmianami powietrza wiosennego. Jedno spojrzenie na rycinę dołączoną wystarcza do ocenienia, że przedłożone modele zupełnie swemu przeznaczeniu odpowiadają.

Na arkuszu krojów dołączone są kroje na okrycia, przedstawione na rycinie pod Fig. 1 i 3. Kroje te oznaczone liczbami 1—5, są na $^1/_8$ zmniejszone, lecz na paletocik Fig. 2. można użyć każdego kroju niewcinanego, gdyż krój jego nie jest tyle nowy ile bogate i oryginalne ubranie. Obszyty jest sznurem grubym lecz płaskawym, zakończony dołem małemi kutasikami, od ramion w tył spada sznur związany w pukle zakończony kutasami. Z obszycia Fig. 1. można uważać jak wiele używane będą wszelkie obszycia szmuklerskie do wiosennych ubrań damskich.

Obszycie zarzutki Fig. 1. złożone z krepin jedwabnych i kutasów, gustownie i elegancko wygląda, o kroju jego późniéj wspomniemy.

Paletocik wiosenny Fig. 3. jest aksamitny, obszyty płaskim sznurem, a pomiędzy wyszyciem guzikami ubrany. Całe przystrojenie tego paletociku zależy na dobrym wyborze guzików, które mogą być mniéj lub więcéj szklące.

Do teraźniejszych okryć najpotrzebniejsze są bogate „wyszycia", w które to wzory nasze Czytelniczki z przyjemnością zaopatrywać będziemy. Niektóre z tych „wzorów" są umieszczone na arkuszu krojów, co i w następnych numerach czynić będziemy. Wyszycia te częściowo z szmuklerskich wyrobów i guzików lub z ściegu łańcuszkowego (za pomocą maszyny do szycia) z paciorkami i sieczką złożone, przeznaczone są do uzupełnienia i podniesienia mody wiosennéj. Zadaniem naszém będzie wszelkie nowe lub przez nas wynalezione „wyszycia". Sz. Czytelniczkom dostarczać.

Opisy krojów.

Fig. 1—2. **Płaszczyk wiosenny** Fig. 1. na rycinie. Pojedyńczy krój tego płaszczyka powinien być na wiosenne ubrania bardzo używany. Płaszczyk cały składający się tylko z dwóch części, można bardzo strojnie, albo też pojedyńczo ubrać, nie stosując się wcale do naszego modelu. Można go zrobić z cienkiego kortu, jako też z aksamitu lub materyi jedwabnéj.

Powiększenia zmniejszonego kroju nie potrzebujemy wcale tłomaczyć, podawszy cały opis krajania w dodatku do Nr. 1. naszego pisma; podług tegoż opisu można dłuższy lub krótszy płaszczyk ukroić.

Fig. 3—5. **Paletocik wiosenny** Fig. 3. na rycinie. Ten zgrabny i w nowym rodzaju paletocik zrobiony jest z aksamitu, chcąc go używać latem, można go z materyi jedwabnéj zrobić. Krój jego jest równy bez wcięcia w tyle, jeżeli kto chce mieć wcinany, potrzeba tylko w zeszyciu na plecach cokolwiek nadać wcięcia, co dla młodych osób jest stosowniejszem i w ogóle lepiéj ubiera.

Na kroju zmniejszonym podaliśmy zarazem wyszycie złożone z krepiny jedwabnéj lub ze wskośnéj materyi, w kształcie gwiazdy po obydwu stronach paletocika, na rękawach i w około obszyty jest w zęby krepiną lub materyją wskośną.

Fig. 6—8. **Mały paletocik wiosenny.** Model tego paletocika wydaje się na oko większy niżeli przedtém opisany, pochodzi to ztąd, iż tamten na $^1/_8$, ten na $^1/_5$ zmniejszony jest, co jednak sposobu krajania wcale nie zmienia. Model przedłożony jest w kształcie katanki z bardzo małém wcięciem do stanu, dół jego jest po bokach wycięty, formując z tyłu i z przodu mocne końce, krajem obszyte szeroką taśmą.

Dla lepszego przystrojenia można użyć które z tych pięknych wyszyć dołączonych na dzisiejszym arkuszu; wyszywa się albo szutaziem, albo ściegiem łańcuszkowym, dając pomiędzy wyszycie małe czarne paciorki.

Fig. 9—11. **Obszerne okrycie wiosenne.** Okrycie tym krojem z miękkiéj wełnianéj materyi zrobione, służy na chłodniejsze dni wiosny, gdyż jest dosyć obszerne, by się niém dobrze otulić można.

Fig. 10. przedstawia duży rękaw spadający, który się naokoło pachy wszywa, zresztą pozostaje otwarty. Najlepiéj jest takie okrycie wykroić w naturalnéj wielkości z papieru lub tyfoniu, ażeby skład jego rozpoznać; a wreszcie podług tego kroju z przeznaczonéj materyi jak najoszczędniéj krajać.

Fig. 12—14. **Nowe wyszycia.** Bardzo ładne jest wyszycie Nr. 12. z wązkich krepinek, szutazia i ściega łańcuszkowego (za pomocą maszyny do szycia), pomiędzy wyszyciem są czarne paciorki, sieczka krótka i długa.

Fig. 13—14. przedstawia wyszycia ciągnione, które mogą być z szutazia, ściegiem tamburowym lub maszyną do szycia robione, podług gustu można w każdym zakręcie dawać paciorki mniejsze i większe, jednakże bez wszelkiéj przesady.

Fig. 15—21. **Nowe modele ubiorków damskich.** Dogadzając wielostronnym życzeniom, umieszczamy niektóre nowe modele kapeluszy paryskich, jakie przy nadchodzącej wiośnie używane będą. Kapelusze te większe są od tych, które teraz noszone są, a które kapeluszami nazwać niepodobna. Widzimy z tych paryskich modeli, że okrycia głowy będą powiększone. Zresztą znającym się na tych robotach Czytelniczkom, nie będzie na tém zależało, z czego kapelusze są zrobione, lecz jaki kształt mają, gdyż materyje mogą być podług gustu i oznaczonéj ceny wybrane. Najgłówniejszém jest, zachowanie modnego kształtu, który będziemy się starać jak najdokładniéj przedstawiać.

Fig. 17—19. przedstawia wysoko spięty **półkoszulek** i **dwa różne rękawki**, pojedyńczo lecz gustownie koronkami przybrane. Na zakończenie naszych opisów, upraszamy Sz. Czytelniczki o nadsyłanie nam życzeń i informacyj, które chętnie przyjmować będziemy; przypominamy również, że i wszelkie obstalunki załatwiamy

---

Bal Techników odbędzie się 5go t. m. w sali Hotelu saskiego — a **bal Artystów i Literatów** 9go t. m. w Sali redutowéj.

— Trzeci **Koncert** ***St. Moniuszki*** (28go stycznia) na dochód akademickiego towarzystwa wzajemnéj pomocy, wypadł równie świetnie jak pierwsze. P. Köhler odśpiewał „Czaty, Kwiaty i Krakowiak" — a Panna A. piosnkę kompozyci Moniuszki.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.